

Razem, osobno



BOŻENA KEFF

Razem, osobno

Wieczór Ewy Patłó

Ewa Patłó wychodzi z pracy o piętnastej trzydzieści,
w ulicze
mija starszego pana, który
w ceratowej torbie
niesie psa z siwą mordą.
Ewa wchodzi na rondo
staje jak na obrotowej scenie
między mijającymi tramwajami i autobusami,
przechodzącymi ludźmi

Zaraz po zachodzie słońca
szosą osiemset osiem mknie
John Best. Jego
czterdziestocylindrowy srebrzysty Sakwojaż
z elektronicznym wtryskiem paliwa
jest wymoszczony szczelnie jak unoszące się gniazdo
muzyką płynącą z ośmiu głośników. John
włącza telewizor i zerkając na ekran widzi:
Abelokain, leżąc w wysokiej trawie,
zagłusza dogłębne poczucie rozdwojenia
rozkoszując się odzyskanym Rajem
nad którym
nie powiewa żadna, żadna flaga.

Tymczasem
Ewa Patłó wychodzi z konferencji prasowej
(za nią jej genialny agent
z psem w ceratowej torbie). Dała tam
do zrozumienia
że jest fundatorką i pierwszą wyznawczynią
nowej religioideofilozofii:
Wsiem! Wsiem! Wsiem! Przynajmniej
na dziesięć lat. Agent i jego pies
udaremniają kilkaset zamachów na jej życie.
Wywożą ją na Antarktydę, ale wrogowie
zdalnie podłączają do lodów grzejnik. Z potopu
ratuje ją John Best, jak zawsze nonszalancki
i bezdennie smutny.

Tego wieczoru
zamknęli się w ciasnej odrapanej łazience jakiegoś

mieszkania.

Słuchaj, prosi Ewa Patło, moglibyśmy żyć inaczej,
nie dać się! Ja
już się dałem, odpowiada jej przyjaciel
niedoszły kochanek
zwany dotąd Johnem Best.
Kiedy Ewa Patło weszła do jego mieszkania
(rzadko zamieszkiwanego) znalazła go
zwiniętego na materacu. Spodnie i sweter
na podłodze, poduszka
ciśnięta w kąt. On klęcząc opiera głowę o podłogę

o ścianę

— nie może.

Wycie karetki, nad którą krąży zimne pozaplanetarne

światło

drzwi z pleksiglasu, szybka windy, okno
sali szpitalnej
coraz wyżej zachodzą
samotnością.
Od kilku lat nie żyje
i coraz rzadziej Ewa Patło daje mu zajęcia, miesza go
w zdarzenia
które trwają
lub które projektuje. Cóż, nie są już rówieśnikami.
Ostatnio
śnił się jej jako spojrzenie w oczy:
były niebieskie, bez wymiaru,
rozjaśniały się od napływającego światła
aż zostało samo światło, sama dławiąca
unosząca
miłość.

Późnym popołudniem, w domu
słuchając muzyki
wyciąga flamastry i papier. Robi rysunki bez planu
wedle tego, co wypadnie.
Na pierwszym:
mała Ewa Patło siedzi na krześle przed lustrem. Matka
czesząc ją rzeźbę:
*O dziecko, jakże jesteś
podobne do wszystkiego,
lecz najbardziej
do babki ojca twego.*

Na drugim:
olbrzymia Ewa Patło
w kolorach jak pięścią w zęby. Demon
siedzący na nosku jej buta
patrząc w górę widzi
dwa wzgórze piersi, podbródek i rozwiane włosy. Ewa

pali cygaro

i strząsając popiół w morze, powiada:
*Jest we mnie o wiele więcej Ewy Patło
niż czegokolwiek, co istnieje
i ciągle więcej możliwości
niż Ewy Patło.*

Na trzecim:
na scenie połyskującej jak niebieski płomień spirytusu

Ewa, dziewczeczka w białej sukni, którą targa wiatr
szepcze do swego dziecięcego buta:
*Nigdzie; w całym wszechświecie
nie ma
drugiej Ewy Patło ani nic podobnego.
Co za osamotnienie! Nikt mnie nie poprzedza
i nikt nie jest w stanie przedłużyć. Co począć?*
— Począć dziecię —
szepcze babka jej ojca, siedząca
na widowni.
Na czwartym:
Ewa Patło, sama i dorosła, usiłuje włożyć
sвій dziecięcy bucik, który powiada:
*O, bez przesady, jesteśmy
do wszystkiego podobni, do niczego
nie jesteśmy podobni. Ta równowaga/ trzyma się na skrajnościach.*

O ósmej ja przychodzę do Ewy Patło. Tego wieczoru
wydaje mi się, że jest taka
substancjalna, zawierająca się w sobie, że
przylega do życia szczelnie, bo spaja ją z nim
ta właśnie warstwa fikcji, w której żyje.
— Mnie? Z życiem?! — mówi Ewa Patło, a ja
przymierzam jej sukienki, swetry i buty
ale zwłaszcza buty są
w szczególny sposób
nie moje.

Leżąc w łóżku
Ewa Patło widzi za oknem
zielony biegający neon i pasek nieba
jest w tym coś z ozdobnej kraty więzienia, czując ją
chciałoby się spakować walizki i ruszyć. I chciałaby
w obronie swojej słabości
użyć całej ludzkiej siły. I nie wie, co robić
żeby naprawdę dotknąć swego życia,
być i poznawać. Można by też,
myśli,
wyruszyć w tę praktyczniejszą
bo niedotykalną, podobno pełną i szczęśliwą przestrzeń
gdzie nic nie jest rzeczą;
ale jaka w końcu możliwość odwróci od niej
to, że jest jedna, osobna, jednokrotna —
tylko to jedno: jednokrotna
jest przedziwne i wymaga odwagi, skupienia, pomocy;
och, pomyślała
nagle siadając na łóżku, co ze mną będzie!
Ktoś mógłby wiedzieć
choćby tyle, że tego wieczoru
miała na sobie ciemnoróżowy sweter. Ja to wiedziałam.

1974

Miejsce do przesuwania

Tę planetę opuściła jej własna
lub włożona w nią
spoistość. Oko
patrzące z dołu dzieli. Oko
patrzące z góry
zamknięte teraz. W powiece
odbija się wszystko zmienne i reszta. Także ten człowiek
siedzący na ulicy, tyłem do świata, zanurzony w gazecie;
w powietrzu
tłuczone szkło, muszelki, drób pieczony, miał
przedmiotów i zwierząt, papiery —
dlaczego nie dlaczego tak. Łza
nie nadpływa,
jej drobnokościste pokrewieństwo z ziemskim czasem
zostało zawieszona.

Coraz częściej
przychodzi do ciebie ktoś
kto już nic — nienawidzić ani kochać. Kto
otwiera sobie
czerwoną, ostrą podróż bez ziemi
do ziemi. Wytłumacz sobie, że to ciągle
przejściowa historia. Bywa, że spoistość
wraca do planety, odmyka się
oko patrzące z góry i wierzysz
że płynie blask. Wisi łza
która nadpływa wypełnić miejsce łzy
ale
nie spływa

1974

Zanim to złączysz

Ręka prowadzi kancelarię,
usta — towary spożywcze i poligon,
brew, kiedy o niej myślę, otwarta
jak słowo *to*;
tego dnia o świcie brew, ręka i usta
idą po pasie startowym. Nad nimi
puste lekkie białko i ukryte planety. Dobiega
warczenie silników. Na tym bezludziu
brew zakłada uniwersalny dom towarowy. Przestronne
sale
poszerzane szumem wentylatorów, wąskie czerwone
korytarze, fioletowe
owalne przymierzalnie. Reka przyjmuje
damskie i męskie monety
do zapłacenia toalety
Na długo
przed końcem pierwszych zakupów

w których wszystko
odbija się zrozumiane. Kiedy o tobie myślę
wydaje mi się
że siedzimy oparci o siebie plecami: blisko, rozległe;
patrzemy w przeciwnie strony. Idziesz najdłuższą ulicą miasta;
nad tobą
wampirzy pazur skończoności. Piętrowo
zbudowany świat
który
trzeba trzymać w garści
więc trzymasz
i on też
nie puszcza.

2.

Byliśmy na piwie, ty, ja
i jeszcze kilka osób; w lustrze nad barem
odbijała się zatłoczona ulica (godziny szczytu),
każdy (młody) przechodzień jest możliwością
jak otwarty, nieznany tunel. Pojawia się, jest, znika;
przeczuwam, widzę, tracę — to wszystko działa
jak środek pobudzający. — Do czego? — pyta ta dziewczyna.
— Do czego? — powtarzasz — nie wiem, chciałbym zagrać
Stawrogina. — Kochany — i nachyla się do ciebie trochę —
ty za bardzo musujesz, szczęka kwadratowa, owszem,
ale podgardle Erosa. Będziesz miał to, co ludzie mają;
i wypijesz, ale za swoje,
i czego jej oczy nie widzą, tego sercu nie żal,
i choć lepszy, ale masz gorzej! Sam sobie

wypłacisz

a synka nazwiesz Nicolas!
Z domu zadzwonił do niej.
— Teraz właśnie cię kocham — powiedziała
tak jakoś grzecznie, że miałyby się ochotę
przejąć w twardych butach po szkło, niech pryska,
trzeszczy, pęka. Och, uwyraźnić się, odbić!
Od czego? Od kogo! Poustawiał szachy
żeby zagrać ze sobą
myśląc jednocześnie: nie warto,
nie ma demona, nie ma mocy
z którą można by zagrać o wszystko,
jestem sam.
Sam
samotnie idąc pod górę
osuwającego się lodowca.
Był się ruszało. Wziął proszek od bólu głowy,
zaparzył sobie kawy, włączył radio,
chórek śpiewał:

*Jego rachunki są jakby nie jego
choć się zgadzają
cele które ma na muszce
zostaną strącone
wypłaci sobie sprawiedliwie
ale niemożliwie
ale niemożliwie.*

3.

Kiedyś, opowiadałeś, poszedłeś
odwiedzić dziecko sąsiadki, które
nie jest w porządku z głową. Matka
dziewczynki
czekała na ciebie, czytając w kuchni książkę. Mała
była w brzydkich granatowych spodniach
i szarym sweterku. Przyniosłeś jej
książkę z obrazkami, wzięła ją
i schowała do łóżka, pod kołdrę. Bawiliście się
budując wieżę z klocków. Wspaniale;
jest dzika i bezbronna
jak goły nerw wypuszczony w świat. Pije ciebie,
tonie — ale nie przepada. Żyje w nieukojonym
i bezkarnym strachu, zapada we wszystko
ale zostaje w sobie. Jest doskonała, skończona
na zewnątrz niej
jest dalej ona, a w niej
dalej świat.

— Może pan
zostanie jeszcze? — pyta jej matka, kiedy mała
leży już w łóżku. Stoi w drzwiach kuchni, za nią
odrzucająca, zmartwiła
przestrzeń mieszkania. I tak co wieczór
ciągle,
bez zmiany.

4.

Śniło ci się
że siedzisz na blacie długiego stołu
w jakiejś kuchni
w starej czynszowej kamienicy. Na zewnątrz
i wewnątrz
to samo
ciemne, przygnębiające światło. Jest zmierzch,
okno wychodzi na podwórze-studnię. Niżej,
w przeciwległej części domu,
ktoś stary (nie widać: kobieta czy mężczyzna)
siedząc przy parapecie
pije łyżeczką herbatę. Wyżej
niebieskie światło telewizora w pustym ciemnym
pokoju.

Naprzeciw
w drzwiach między kuchnią a nieoświetlonym korytarzem
rozmawiają, oparte o framugi drzwi, starsza kobieta
i młoda Cyganka w różowej połyskującej
spódnicy. Ale za nimi
nie ma korytarza. Widzisz to nagle:
tam nic nie ma. Wszystko jednowymiarowe:
ten dom, podwórze, ludzie.
I czujesz, jakby ktoś obcy, spoza snu
zaznaczył gwoździem to miejsce, w którym jesteś. To ukłucie
przebija tak mocno
że twoje życie

stańło w tobie, dławiąc.

Z jakimiś zanikającymi strzępkami myśli, obrazów:

matka,

ojciec, ona i tamta, i znajomi, jakiś lęk

jakaś zapomniana satysfakcja —

to wszystko z gorzkim smakiem, w gorączce,

w zdrętwiałym ciele

trzeba się ruszyć spieszyć działać — ale

nie poruszyło cię. Jest źle i czujesz

plytką rozpacz

w której nie sposób się zanurzyć, przebić

stwardniałej powierzchni.

Ani płakać, ani zawyć. I pojmujesz nagle

że to już

wieczność

że to już

po śmierci.

5.

Zabłysnął niebieski ekran telewizora — co widzę?!

Na dachu

wieżowca

pod chłodnym rozpędzonym niebem

leży snajper. Zamknięty

w wewnętrznym kręgu

skupienia i ciszy. W wizjerze

układa się przestrzeń, obraz nachodzi na rzeczy, oddech

uspokaja ciało. Organiczny

karabin Superego Lux jest świetliście bliski,

od czarnej oksydowanej lufy

przez ciemne wnętrze do chłodnej, przylegającej kolby

— i tam

gdzie twój palec leży leciutko zagięty

we wklęśnięciu spustu; wszystko

gotowe. A on

kładzie głowę w zagięciu łokcia, zamyka oczy; lepiej by było teraz

być młodym, umierającym dowódcą:

spieczone wargi, skrwawione bandaże;

otoczony milczeniem żołnierzy, wśród ostatnich strzałów,

rozwiewającego się dymu

szuka spojrzeniem swojego zastępcy, silnego jak byk,

wrażliwego jak nawiedzone dziecko.

— Więc ostatecznie,

czy chcesz — pytam go —

żebym ten fragmentaryczny, być może, poemat

dedykowała tobie?

— Nie —

powiedziałeś — tylko

bez dedykacji.

1975–1980

Blues pod tytułem „Snajper”

Byłam na ostatnim piętrze, ty byłeś na dole, mój
przyjaciel ze mną był,
siedzieliśmy na podłodze, on mi opowiadał sny
Bardzo szczerze było nam.
Ty do windy wchodzisz już.

Ja czytam o kimś, kto słucha, on był w kuchni, robił coś.
Rozmawialiśmy dokładnie, choć się nie rozlegał głos.
Wszystko było jakby szerzej i wysoko, ale tu.
Ty do góry jedziesz już.

On miał długie jasne włosy, a kiedy szedł spać,
to zdejmował okulary i mi do herbaty kładł. — Co widzicie?

— pytam je.

— Łódź podwodna jest na dnie, a teraz podnosi się.
Ty do góry jedziesz już.

Ja na brzegu łózka siedzę, on na drugim brzegu śpi.
Nie chcę sama być jak pies, czasem strasznie cieszę się.
On mi odpowiada: wiem.
Ty do góry jedziesz już.

On na brzegu łózka siedzi, ja na drugim brzegu śpię.
Nie chcę sam być tak jak pies, czasem strasznie źle mi jest.
Ja mu odpowiadam: wiem.
Ty do góry jedziesz już.

Ty do góry jedziesz, lecz
raczej nie zastaniesz mnie.
Ostatniego piętra brak,
drżymy, bo coś jest
nie tak.

1973

Domek Dzyń

Kropla
zapełnia przestrzeń.
To samo: podróż i korzeń.
Oddech unosi słowo
i sztuczne jest prawdziwe. I ja tutaj. Cokolwiek zechcę,
mogę:
żyj, umrzyj, zadzwoń!

Dzyń!

1978

Dom spania

Śpię,
mieszkam w sobie. Trzoda
pilnuje się sama,
nie zapomina o mnie. Gdzieś, na zanikającej krawędzi
jakaś idea schodzi szlakiem
trawionej kromki chleba, przebija jeszcze
rytm niedawnej rozmowy, topnieje
resztką strachu w przykurczonym mięśniu. I cokolwiek jest,
jest oddzielone,
ale przenika mnie. Świat się usunął,
ja się usunęłam;
w tej rozrzedzonej, odradzającej przestrzeni
próbuję głosu kielkujący chór.
Nie słyszę go. Śpię,
żyję
swobodnie.

1978

Dom zgodności

Wieczorem,
wracając metrem do pożyczonego mieszkania,
jadąc pod ziemią nieznanego miasta
detronizowałam się
i gdzieś zatracala się moja i tak nieoswojona
historia. Wiśniowa przetarta torebka
kobiety śpiącej na przeciwległej ławeczce, rząd lamp
pod sufitem wagonu, metalowe uchwyty drzwi,
skały za oknem
układały się w spełniony plan świata. Spełniony,
straszny. W mieszkaniu
przejrzałam książki —
niektóre w tutejszym języku, inne
w moim, który też
przestał mnie dotyczyć. Dałam jeść kocicy
i jej pięciu małym. Sześć kotów
jadło cztery ryby. Stojąc pośrodku tej kuchni,
potem w pokoju przy oknie,
patrząc z napięciem w ciemne podwórze, poczułam
jakiś rozległy niepokój
od tej przestrzeni, którą rozrzedzałam sobą i
żeby ją zgarnąć
umylałam sobie swoje zęby
i ścieląc łóżko podłożyłam sobie pod głowę
swoją sweter. Gasząc światło
włączyłam radio. Przy zacisznym blasku skali
zasypiałam czujnie pod samą powierzchnią
aż przebiły ją
czarne gigantyczne skały

Rosnące bez końca
w kosmicznej rozszerzającej się z siebie przestrzeni;
patrzyłam gdzieś z dołu
na pasma ciemnogramatowych przestworzy
ciągnące
między szczytami skał. Pancerne, podklejone jakby
migoczącą warstwą
rozmów śpiewu muzyczki
— i strącając kota na podłogę
usiadłam
patrząc, ślepiąc w ten ciemny bóg wie jaki pokój,
w tę dokładną co do milimetra makietę
szaleństwa;
osobności
która doprowadziła do tego
spojrzenia —

1980

Dom pracy twórczej

Tego popołudnia
wychodząc z domu do ogrodu
poczułam: widok tej przestrzeni
napina i szarpie mój nerw błędny
jak nylonową żyłkę. Obraz przylega do rzeczy. I nie jest
inaczej. Z kuchni polowej
stojącej przy domu
wzięłam
kawalek chleba. Kucharka, nie przerywając czytania gazety,
nalala w mój kubek herbaty
i jakby wyrównała tą strużką
mój płytki, zmięty oddech. Zza domu dochodził łomot
rzucanych na ziemię
skrzyń z jedzeniem, padały paczki
papierów, banknotów, odzieży. Wyżwirowaną drogą
schodziłam ze wzgórza w dolinę ogrodu
idąc równolegle
z czerwonym stygnącym słońcem. Na dole
w sadzawce
wypełnionej napiętym, ciemnym kwadratem wody,
bez szmeru brodziła para. Kobieta i mężczyzna koło

sześćdziesiątki.

Nad nimi

słonawy opar budowli
wzniesionej
przez jeden
z ataków czasu. Pogryzając chleb
zeszłam na skarpę ogrodu. Na asfaltowej ścieżce
mój znajomy rysował portret
swojej nogi w wysokim skórzanym bucie
i przytulone do niej
dziecko. Odłożył kredę i spojrzał na mnie

wyść i wściekle nie ma
i ciężko. Niedługo potem
znalazłam to zdjęcie: stoją jak wyłożeni przy drodze
a nikt
nie ma tam dostępu. Jak czasem sama do siebie
kiedy widzę
że życie biegnie tą swobodną,
ostateczną linią losu, kiedy wiem
że jestem — a nie pojmuję jak — i jak
to możliwe. Kiedy wtulona, wbita, wprasowana w coś w kogoś
i tak: tu się zaczynam
tam się kończę.

O, kurnik!

Otchłań! Gombrowicz
oparty tyłkiem o maskę samochodu, w marynarce, w szaliku
z niepokojem czy napięciem w twarzy, jakoś pochyłony
do ziemi patrzy
poza granice zdjęcia. W otwartych drzwiach samochodu
Rita ulatuje
oparta łokciami o dach
w jasnej bluzce, uśmiechnięta prosto w obiektyw —

Jasne, cholerny trupie

Jasne, kocham cię,
cholerny trupie — tak mi się powiedziało kiedyś
kiedy wychodziłam z domu, świeża, dzień lekki

i słoneczny,

i skąd to „jasne”? Czy pytał mnie wtedy? Odpowiadam
co jakiś czas, ciągle od 15 lat,
choć nie wiem, jak właściwie miałabym mu wyznawać:
wypluć gumę do żucia, przykleić do obcasa, zsunąć

cowbojski kapelusz

i ciepło, rzeczowo powiedzieć: kocham cię, na początek
mam 20 dolarów; czy dopić truciznę i ciągnąć za sobą

tren ciężkiej

sutej sukni

paść na dywan u jego stóp, łowiąc
ostatni
boski błysk jego eleganckich trzewików;
czy szarpnąć za lokiec w tangu i z przechyłu zionąć

mu w twarz:

chcę pana pragnę pana;
czy skoczyć za nim z mostu i spadając śpiewać:
kocham cię! kocham kocham —

Może był tą połówką, której brak tak boli, może
to nie on i nie ja
a tylko możliwość, trop, pokrewieństwo,
bo i ja i on
niby byliśmy osobno albo razem z innymi, ale każde
samo
z tym pragnieniem despoty, prostaczka, dandysa
mieć niemożliwe, niech koi koniecznością, zmieniać świat

swym spojrzeniem! Dostać ten diament! Więc on
ekspłodował z niepokoju i z poczucia pustki,
choć był szalejącą, rozrastającą się dżunglą,
a ja i dziś myślę: Co? Mam tak stać i wyznawać miłość
i okazywać żal i gubić się w domysłach i snuć refleksje?!

Tak

się poddać, tak się dać wpasować w jakieś opowiadki,
tak — powiedziałabym — zdradzić, choć oboje
woleliśmy *pojęcie* zdrady niż wierności. — O, nie! Niech będzie
że to jakby oddźwięk, nawiedzenie,
niech nie wiem, kto pierwszy uderzy w ten tam-tam
żywa czy trup. Nieważne. Jedna strona hipotezy nie żyje
lub tylko jedna żyje
już nie gadać nie gadać już
kochać

1985

Solo Berkeley (solipsystycznie)

Czekałam na niego
w dolinie kamieniołomu nad morzem. Za mną
białe promieniujące skały, niżej
kamienisty, krzewiasty brzeg — na cały horyzont
słońce i świecąca woda. Nie
nadchodził.
Spacerowałam jak po estradzie: równo, białe, blask
z góry i spod stóp. Sprawdziłam zegarek: chodził. To

cykanie

wydało mi się odcięte od własnej oczywistości. Nie lokowało się
na tym pełnym widoków bezludziu. Jakby
coraz ciaśniejszym. Jakby
zwykły bieg życia
był poza zasięgiem — oplątywała mnie
paniczna, drętwa samotność. Nie widziane
nie widzi. Nie słyszane
głuchnie. Spojrzałam na zbocze — oślepiło mnie.
Nie widzę go — nie istnieje. Zamknęłam oczy:
za moimi plecami jakiś punkt
rozrastał się w gigantyczną otchłań. Odwieczna

wszystkość

wchłaniająca sens, obecność, znaczenie.
Te skały, brzeg, morze — to jej wglądówka dla mnie.

Negatyw.

To, co mi chce pokazać. Serce
roznosiło mnie na kawałki. Otworzyłam oczy. Schodził

zboczem!

Ostrożnie, skupiony, zeskakiwał z ostatnich bloków
na estradkę. Zobaczył mnie, kiwnął ręką. Ja też
kiwnęłam. Jakie świetne stworzenie! Jakie
podobne do mnie: głowa, ręce, nogi. Okulary
przeciwsłoneczne. Ja też mam takie.
Dotknęłam ich. Wszystko

przycichło, jakby tyłem wpełzało
na swoje miejsce. Złapałam oddech
i poszliśmy razem, przed siebie. Ale właściwie
to poszliśmy
przodem —

1984

Solo Berkeley (drugie)

Czekałam w jego mieszkaniu: kuchnia
z balkonowym oknem, uchylone drzwi do pokoju, cień.
Z blatu stołu wzrok zszedł na deski podłogi
i niżej, za okno, na chodnik. Gęste drzewa, ławki.
Na niebie czerwonawe słońce i mgławki, przejrzysty
księżyc.

Zaparzyłam herbaty,
naląłam do szklanki, której nie umył po sobie. Piłam.
Piłam, robiło się ciemno i chłodno. Zamknęłam okno.
Kuchnia

zwarła się: ściany objęły zlew, stół, duży
ciemny kredens. Granatowy prostokąt szyby
odbijał to wszystko
a ja, patrząc w ten zaciemniony, pomniejszony
obraz
nieruchomiałam — żeby go nie mącić. Zatracająca się gdzieś
kopia wnętrza kabiny.
Pojazd rozsypany w przestrzeni.
Pamiątka. Smutna
jak blaszany dźwięk zawieszony nad pustą drogą.

straszne pragnienie przywołania kogoś, kto znał
naszą cywilizację, czas, miejsca. Sens. Ach, bliskość,
bliźnię —
W pokoju zapaliłam lampę. Wszystkie rzeczy
pojawily się nie stykając się ze mną:
— Czy wyrzekacie się jej? — Wyrzekamy. — Człowieku,
opuść te stworzenia —
Włączyłam telewizor i włąłam
na niepościelony tapczan. I jakbym tkwiła w próżni.
Na ekranie

frunęły
wyniosłe zarzucone włosy. Przegięte plecy, szarpnięcie tyłkiem kłaśnięcie —
odkopnięte mocno falbany sukni
opadają powoli. Stopy drobno uderzające
w podłogę. Przerwa: napięta i wysoka wieża. Przerwa:
jęk — pchnięcie — jęk —
— *Hiszpańska tancerka* —
powiedziałam głośno. Nie zrozumiałam
co mówię. Z Andaluzji — pomyślałam. Z musującą od niepokoju drętwotą
napisałam w myślach: Co ja robię? Co —
zdejmujesz ze świata warstwy
sens, los, ciągłość, ruch; wszystko

do gołej kości
własnej czaszki. Której też nie uwierzysz. Osiągasz
zero wyobraźni. Zamknij
uroczne oczy. Zamknęłam. Naciągnęłam koldrę,
było mi zimno. Wtedy trzasnęły drzwi. Przyszedł.

Złazłam

z tapczanu, otarłam spocone dłonie o spódnicę,
zajrzałam do kuchni: pił swojo-moją herbatę
na stojąco, z torbą w ręku. W szybie odbijała się kabina
kuchni z nim i ze mną, z głębi pokoju

promieniował
obraz tancerki. Odwrócił się i powiedział
coś:

ratuj

albo

ratunek.

Nosferatu, wampir

Wracałam do domu w nocy. Ciągle pod górę
starym, rozmytym wąwozem
między dwoma lasami. Nagle ściemniało. Chmury
sięgnęły ziemi, szarpnął wiatr. Z pierwszą błyskawicą
uderzyła mnie
głęboka, dziecięca trwoga. I zaraz
zobaczyłam światło: żółto-mdlawe. W najwyższym

oknie domu

który musi stać za najbliższymi drzewami. I jakby
z tym światłem szło spojrzenie. Więc jest —
więc jesteśmy!
Szarpnęłam drzwiami. Na dole
nikogo. Weszłam
ciemnymi schodami na górę: oparty plecami o okno
stał on — Nosferatu, wampir. Ta właśnie twarz

kredowa

jakby przerżnięta blizną — ale gładka.
W ogromnym pokoju
stół i dwa krzesła. Płonął ogień. I ta oczywistość:

aureola

koronująca
czas, miejsce, osoby.
— *Przyszłam* — powiedziałam — *tą drogą*
która miała prowadzić —
— *Witaj w naszym domostwie* — przerwał
i jakby się uśmiechnął.
— *W domostwie?* — powtórzyłam nie słysząc się
zatopiona w tych sinych oczodołach, gładkiej czaszce
ach, te ruchy kanciastopłynne
jakby nie miały prawa stykać się
z ruchem czy nieruchomością rzeczy
a jednak stykają się i działają. Przysunął
kieliszki, białe wino,
talerzyk malin.
Siadłam

naprzeciw niego.
— *Od dziecięcego osamotnienia* —
powiedziałam patrząc w niego — *przechodzi się*
do neurozy wieczności. To znaczy: żeby żyć
bezpiecznie
trzeba gwarantować sobie
sobą
wszystko.
Klatka z pustych białych ścian. Czarne
okno. Tylko on
przede mną.
— *Tak* — powiedział — *to podobne. Podobne.*
Pić krew ludzi, zdarzeń, rzeczy
i nie moc ożyć. Pić
żeby nie być upiorem. Pułapka — krzyknął cicho —

pomyłka!

I nagle
zobaczyliśmy się
jak wyłączeni, wycięci ze świata. I moje
i jego spojrzenie
przyniosły ze sobą wszystko, co miały
i porzuciły wszystko. Objęły się. Niemożliwe: zdawało mi się
że w moich oczach widzi swoje odbicie. Och, rozwalić
tę samonapędzającą się udrękę. Wyzwolić.
Przetarłam oczy. Westchnął. Siedzieliśmy
naprzeciwko siebie. Zjadłam malinę. Drugą
obracałam w palcach.
— *Ja też* — zaczęłam
jakimś grzęznącym szeptem — *jakbym piła życie*
przez innych. Od siebie
przez nich
do siebie, to mi daje moją obecność. Ale ja —

samodzielnie

czy może samotnie — zostaję samotnie i
zanikam... rozpadam... — i jakoś zupełnie
schrypłam. Było mi zimno. Odwrócił
głowę. Nad sztywnym, czarnym kołnierzykiem
czaszka z napiętą skórą. Niespodziewanie
wyciągnął rękę:
otwarte sine palce z pazurami. Była
twarda, lekka. Niech będzie jak jest —
i ścisnęłam ją. Położył głowę
na stole
obok naszych rąk. Och, pomyślałam, dość, każde z nas
wyje do tego, czym nie jest, czego
nie zaznało. Tkwę w życiu
jak w ciągu przypadków, pożądając
tylko konieczności. Zawsze obecnej
i zawsze nieosiągalnej. Tak się tłuc
jak on
w tej klekoczącej blaszance wieczności? I z całej siły
ścisnęłam jego rękę.
— *Wyrzekam się* — powiedział. Jego ręka w mojej
zrobiła się cięższa, cieplejsza,
pazury zniknęły. Wypełnione ciało
wolno

zsunęło się w moją stronę
na blat! Zerwałam się
przewracając talerz. Leżał do połowy na stole;
bezwładny, ciężki. Miał ciemne kręcone włosy,
widziałam zaróżowione ucho — żywy
martwy człowiek! Więc cofnął się
do swojej śmierci.
Spróbował. Stałam nad nim
z rękami przyciśniętymi do serca
i czułam
jak coś się we mnie rozszerza: pęknie,
trzaśnie — i jest tam jakiś głos — i
wyje, niewydobyty. Chyba
nad ranem
ocknęłam się. Wypiłam wino z jego kieliszka i oblizałam
krawędź. Przed wyjściem sięgnęłam: podnieść jego głowę,
zobaczyć twarz. Ale, pomyślałam, nie. To
sprawdzi się samo.

1981–1983

Jako inspirację powinnam wskazać, więc wskazuję, *Draculę* Brama Stokera, *Nosferatu*,
symfonię grozy Murnaua, a głównie *Nosferatu*, *wampira* Wernera Herzoga, gdzie Nosferatu
grał Klaus Kinsky.

O pocieszeniu, jakie daje poezja

Ludzie,
czasami tu można cichutko zemrzeć, wyschnąć
w tym głodnym bastionie obronno-nacierającym, w tej
krańce
poezji. W tym kunszcie tak ascetycznym
gdzie można do woli
używać słów: jak cegiel, jak karabinu maszynowego,
jak ognia — sztucznych i prawdziwych, jak siebie, jak życia
które
ani wygrane ani przegrane
płyne —

A tu robótka: sklejanie całości
na ślinę, na intelekt, na kulturę, wbrew
kulturze (w ramach kultury); och, to popiskiwanie
mocarne, erudycyjne, prywatne — ja sama
jestem jego zdradzieckim sumieniem bez wiary,

najchętniej

używam słowa *wszystko*
jakbym chciała to, co ono zawiera
wystrzelić, wypluć — już! teraz!
I marzę o gigantycznym widowisku
jakiś filmowej operze z baletem, z muzyką przez

armatofony;

świat światła sława miliardy widzów
i doskonała wspólnota i rozumna, dokładna osobność
a nie tak jak tutaj:
relikwia

rzemiosło cienkiego nerwu
i cienkiego pędzelka
które już ledwo zipie pod ciężarem
własnej formy, świata, który przetrawia, głosu
który się wypowiada w tych
słupkach

schodkach

wersach.

I myślę: dobrze, *na razie*
jestem tutaj. I to *na razie*
prawdziwe czy nie
pociesza mnie najbardziej.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/keff-razem-osobno-cykl>

Tekst opracowany na podstawie: Bożena Keff, *Nie jest gotowy*, OPEN Wydawnictwo Naukowe i Literackie, Warszawa 2000.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).